





Dom „Kultury”

PRZEWODNIK

INSTYTUT  LITERACKI
FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ

Maisons-Laffitte 2020

Domu „Kultury”. Przewodnik

Tekst: Marek Żebrowski

Tłumaczenie na jęz. francuski i korekta: Anna Ciesielska-Ribard

Projekt graficzny i skład: Pracownia Teren Prywatny

Druk i oprawa: Drukarnia Leyko, Kraków

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Rzeczypospolitej Polskiej

INSTYTUT  LITERACKI
FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ

Wydanie I

Instytutu Literacki Kultura | Fundacja Kultury Paryskiej

www.kulturaparyska.com

© Instytut Literacki Kultura 2020

ISBN: 978-2-9574163-3-2

Paryska „Kultura” – miejsce, znane powszechnie jako „Maisons-Laffitte”. Już w pierwszym zdaniu dwie nieoczywistości. Niech ten nietypowy wstęp usprawiedliwi to, że w Domu tym nigdy nie chadzano utartymi ścieżkami i unikano truizmów. Choć „Kulturę” dla odróżnienia od pisma, wydawanego w PRL pod tym samym tytułem, nazywano „paryską” – to miesięcznik powstał w Rzymie, w roku 1947. Wydawany był od początku przez Instytut Literacki, powołany rok wcześniej przez szefa sztabu 2. Korpusu generała Władysława Andersa w porozumieniu z Rządem RP w Londynie. Inicjatorem powołania Instytutu był Jerzy Giedroyc, którego mianowano jego kierownikiem. Od samego początku trzon ekipy Instytutu stanowiła ta sama grupa osób – Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz z mężem Zygmuntem, Józef Czapski oraz Gustaw Herling-Grudziński, który był współtwórcą „Kultury”. Na początku lat 50-tych do tego grona dołączył młodszy brat Redaktora, Henryk Giedroyc.

Przed wejściem, na ganku widnieje tabliczka z napisem „Cave canem”, a więc „strzeż się psa”. Jest to miniatura mozaiki, znajdującej się w Pompejach. Jej obecność tutaj jest o tyle zasadna, że w Domu „Kultury” za sprawą Zofii Hertz zawsze mieszkał pies, zawsze był to spaniel i zawsze miał trudny charakter. Negatywne rekordy w tej mierze bił ostatni z dynastii spanieli, Fax, który nie tylko polował na łydki odwiedzających Dom „Kultury” gości, ale potrafił też ugryźć swoich właścicieli. Na marginesie zauważmy, że imię tego psa wynikało z zafascynowania Giedroycia wynalazkiem faksu. Dla niego, który od dziesiątków lat pisywał po kilka-kilka-naście listów dziennie i nieraz żyzymał się na opóźnienia francuskiej poczty, uwalniający go od ciągłego wyczekiwania na listy wynalazek faxu uznał za istny dar nieba.

Dla zrozumienia specyfiki Domu i instytucji, które się tu mieściły, istotna jest sytuacja wyjściowa, a więc okoliczności, w jakich ich twórcy na zawsze związali swe losy. Tą łączącą okolicznością było to, że wszyscy oni byli żołnierzami armii generała Andersa, w niej się poznali i w niej nawiązali współpracę.

Współpraca Giedroycia, Czapskiego i Hertzów w Armii Andersa jest kluczowa dla zrozumienia fenomenu, jakim stała się „Kultura” i życia, jakie prowadzono w tym Domu przez pół wieku. Spotkali się w armii, walczącej o wolną, demokratyczną Polskę i walkę tę, już po demobilizacji armii, postanowili kontynuować na własną rękę. Dla nich Instytut Literacki i „Kultura” nie były nigdy pracą, ale – jak w wojsku właśnie – służbą.

Jerzy Giedroyc, przed wojną redaktor pism młodych konserwatystów i wieloletni sekretarz kilku ministrów, mający swe ambicje polityczne, we wrześniu 1939 roku został wraz z rządem ewakuowany do Bukaresztu. Tam został sekretarzem swojego przyjaciela, Rogera Raczyńskiego, który w rumuńskiej stolicy był ambasadorem Rzeczypospolitej. Uważany przez przedstawicieli ekipy generała Sikorskiego za nie tylko blisko związanego z obozem sanacji, ale też wysoko w nim postawionego, Giedroyc był przez nich zwalczany wszelkimi sposobami. Został między innymi oskarżony o łapówkarstwo i handel notami werbalnymi, ułatwiającymi zdobywanie wiz. Oskarżenie wycofano dopiero po wielomiesięcznym śledztwie i przesłuchaniach. Po likwidacji ambasady w listopadzie 1940 r., ambasador Raczyński polecił Giedroycowi pozostanie w Bukareszcie i pracę w poselstwie chilijskim, które oficjalnie przejęło reprezentowanie polskich interesów. Giedroyc i jego współpracownicy szybko zostali zwolnieni z pracy przez nadzorujące Biuro Polskie w poselstwie Chile biznesmana Samsona Mikicińskiego, współpracującego ze służbami niemieckimi. Giedroyc i jego grupa urzędowali więc nieoficjalnie, pozostając w kontakcie m.in. z dyplomatami brytyjskimi, pomagając uchodźcom i internowanym, zbierając dla rządu RP informacje z okupacji niemieckiej i sowieckiej etc. Z Bukaresztu Giedroyc ewakuowany został wraz z poselstwem brytyjskim po wstąpieniu Rumunii do Osi w lutym 1941 roku.

W kwietniu 1941 r. Jerzy i Henryk Giedroycowie wstąpili do wojska i jako żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich trafili do oblężonego Tobruku. W sierpniu 1942 r. Giedroyc odkomenderowany został do Iraku, do Dowództwa Dywizji, gdzie zajmował się pracą oświatową.

Właśnie wtedy Giedroycia odnalazł Józef Czapski, malarz, krytyk i eseista, a przede wszystkim – jeden z najważniejszych członków zespołu Instytutu Literackiego i paryskiej „Kultury”. W 1941 roku był szefem Wydziału Propagandy Armii Polskiej na

Wschodzie i mianował Giedroycia kierownikiem działu czasopism i wydawnictw.

Wtedy też Giedroycia poznała Zofia Hertz – przed wojną prawniczka z kancelarii notarialnej w Łodzi, żona Zygmunta Hertza, bogatego biznesmena, który studiował w London School of Economics, pracującego dla koncernu „Solvay”. Po wrześniu 1939 roku Zygmunt znalazł się na terenie okupacji sowieckiej, dokąd jego śladem dotarła też Zofia. Po przejściach łagrowych trafili do Armii Andersa, gdzie Zofię skierowano do Wydziału Informacji i Prasy.

Zofia Hertz poznała Jerzego Giedroycia w służącym za biuro Czapskiego namiocie gdzieś na irackiej pustyni, nieopodal Quizil-Ribat. Pod koniec życia, Jerzy Giedroyc w jednym z wywiadów powiedział z kolei:

Kontynuowaliśmy i kontynuujemy życie pod namiotami. Ten rodzaj służby, tak jak ją pojmujemy, umożliwił nam stworzenie swego falansteru – dalszy ciąg tego, czym żyliśmy w 2 Korpusie. I ogromnie ułatwił wydawanie pisma.

Ten właśnie sposób pojmowania działalności Instytutu zdefiniował ich filozofię działania, sposób pracy i rozkład zajęć. Nie praca czy pomysł na karierę, ale służba. Było to też kluczowe, jeśli chodzi o finansowanie całego przedsięwzięcia i sposób wynagradzania, którego żadne z nich nie traktowało jako źródła zysku – wszyscy oni wypłacali sobie przez pół wieku najniższą pensję, na jaką pozwalało prawo francuskie.

I wreszcie rzeczony Józef Czapski, urodzony w hrabiowskiej rodzinie Hutten-Czapskich malarz, krytyk i eseista, a przede wszystkim – jeden z najważniejszych członków zespołu Instytutu Literackiego i paryskiej „Kultury”.

Ukończywszy gimnazjum w Petersburgu, podczas pierwszej wojny światowej dołączył do 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, z którego jednak odszedł ze względu na swe pacyfistyczne przekonania. Powierzono mu wówczas misję odszukania towarzyszy z pułku, których ostatni raz widziano w Piotrogradzie – przybywszy na miejsce, dowiedział się, że zostali oni rozstrzelani. W czasie wojny polsko-bolszewickiej służył w pociągu pancernym „Śmiały”, brał też udział w wyprawie kijowskiej.

Po wojnie rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie działał w pracowni Józefa Pankiewicza. Wraz z kolegami w 1923 r. założył Komitet Paryski, którego członków zwano kapistami. Komitet zajmował się szukaniem wsparcia materialnego dla artystów, chętnych na wyjazd do Paryża. Zadomowił się we Francji, w której mieszkał przez sześć lat, poznał też wówczas wielu tamtejszych intelektualistów.

27 września 1939 r. został wzięty do niewoli sowieckiej. Trafił do Starobielska, skąd w związku z chorobą przeniesiono go do obozu Pawliszczew-Bor, a stamtąd do Griazowca. Był jednym z 450 polskich oficerów, którym udało się przeżyć pobyt w obozie dla oficerów w Starobielsku.

Dom Instytutu Literackiego od strony av. de Poissy.
Fot. Henryk Giedroyc, 1955



W 1941 r. w ramach amnestii został zwolniony i mógł wstąpić do Armii generała Andersa. Ten wyznaczył mu zadanie podobne, jak przed ćwierć wiekiem – miał odnaleźć swoich towarzyszy z obozów jenieckich. O ich poszukiwaniach opowiedział Czapski w książce pod tytułem „Na nieludzkiej ziemi”, wydanej przez Instytut Literacki w 1949 r. Już będąc w Persji, Józef Czapski dowiedział się, że poszukiwani przez niego zginęli z rąk Sowietów, od kuli w tył głowy. Czapski był już wtedy szefem propagandy w Armii Andersa, wkrótce miał spotkać Jerzego Giedroycia.

Zaangażowany przez Czapskiego, Giedroyc szybko przeprowadził gruntowną reformę wojskowej prasy, za cel stawiając sobie przede wszystkim podniesienie poziomu „Orła Białego”. Jerzy Giedroyc przeszedł z 2. Korpusem Polskim gen. Andersa cały szlak bojowy aż do Monte Cassino. Niedługo później, oskarżany o nazbyt liberalną politykę redakcyjną, został odwołany i skierowany jako oficer oświatowy do Centrum Wyszukolenia Broni Pancernej w Galipli. W maju 1945 objął stanowisko kierownika Wydziału Europejskiego w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji w Londynie, gdzie zajmował się m.in. propagandą Rządu na terenie Włoch i Francji (był tam również reprezentantem 2. Korpusu). Wtedy też powstała koncepcja utworzenia oficyny wydawniczej, która finalnie powołana została 11 lutego 1946 roku.

Jakie przyświecały jej cele, opowiadał Jerzy Giedroyc w filmie dokumentalnym „Kultura” Agnieszki Holland:

Sytuacja wyglądała dla mnie jasno, że jest sprawa przegrana i jest sprawą zasadniczą utrzymanie kontaktu z krajem, wpływanie na sytuację w kraju, no i – oddziaływanie na emigrację.

Już we Włoszech Instytut Literacki przypominał, jak to później określano, „klasztór lub falanster”, choć wtedy jeszcze jego twórcy mieli osobne mieszkania. Wszyscy wciąż byli żołnierzami 2. Korpusu, prowadzono więc w dużej mierze wspólne gospodarstwo. Po wyprowadzce z hotelu oficerskiego Massimo d’Azeglio Jerzy Giedroyc zmienił adres na Piazza Remuria 2a – notabene, późniejsze miejsce zamieszkania kardynała Wojtyły podczas jego pobytów w Rzymie. *Jest to Collegium Polonorum, gdzie mam małe biuro i wy kombinowałem sobie dwie małe celki na mieszkanie* – pisał pod koniec

1946 roku do Wacława A. Zbyszewskiego. – *Czuję się tu doskonale, tak dobrze, że zamawiam sobie szlafrok kroju habitu.*

Jednak wkrótce Jerzy Giedroyc uznał, że Włochy stają się europejską prowincją, nie dającą możliwości wywierania wpływu na życie polityczne świata. Podjęto więc decyzję o przeprowadzce do Francji. Jerzy Giedroyc zamieszkał na początku w Hotel Lambert, XIX-wiecznej siedzibie księcia Adama Czartoryskiego w samym centrum Paryża, na Wyspie Świętego Ludwika. Hertzowie w pobliskim hoteliku.

Już w listopadzie 1947 Instytut znalazł siedzibę przy 1, avenue Corneille w Maisons-Laffitte. Była to zrujnowana przez Niemców willa, wynajęta na potrzeby Placówki 2. Korpusu – de facto na rozkaz Józefa Czapskiego. Zofia Hertz wspominała, że pierwszą noc spędzili tam we trójkę – ona z mężem i Giedroyc – szorując dom w kostiumach kąpielowych. Dom był tak zrujnowany, że – jak głosi laficka legenda – istnienie kuchni odkryto dopiero po paru miesiącach. Czy członkowie zespołu Instytutu Literackiego wiedzieli, że właśnie na zawsze zrezygnowali z dużej części swej prywatności, że już nigdy nie wyzwolą się z obowiązkowego podziału zadań domowych, służbowych etc.? Kosztem sporej pracy i jeszcze większych starań dom doprowadzono do przyzwoitego stanu, gdy po 7 latach okazało się, że umowa jest dla najemców wybitnie niekorzystna. Właściciel zapowiedział drastyczne podwyżki czynszu. Po wielu etapach sprawy sądowej, kilku odroczonej eksmisjach, w grudniu 1954 roku Instytut musiał się z avenue Corneille wyprowadzić. Od dłuższego już czasu szukano nowej siedziby, gdy któregoś dnia chłopiec od rzeźnika przyniósł wiadomość, że w sąsiedniej miejscowości Le Mesnil-le-Roi, kilkadziesiąt metrów od granicy z Maisons-Laffitte, do kupienia jest duża willa. Agencja, która reprezentowała właściciela, zażyczyła sobie ponad 13 milionów starych franków. Dla porównania – numer „Kultury” kosztował wówczas franków 150. Dzięki wsparciu Aleksandra Weissberg-Cybulskiego – byłego więźnia NKWD i Gestapo, późniejszego autora wspomnieniowej książki „Wielka czystka”, wydanej po polsku przez Instytut Literacki, a przy tym architekta i przedsiębiorcy – udało się tę cenę znacząco zmniejszyć. W październikowym numerze „Kultury” z 1954 roku ukazał się apel do czytelników z prośbą o pomoc w zebraniu potrzebnej sumy oraz tekst Józefa Czapskiego, w którym pisał on m.in.:

Nieraz już Kultura była w tarapatkach, właściwie prawie z nich nie wychodzimy, tu jednak sprawa wydawała się bez wyjścia.

Ale redaktor powiedział mi najspokojniej: To jest chwila dla nas wyjątkowo pomyślna, teraz albo nigdy zdobyć musimy dom dla „Kultury”, mamy przy tym możliwość przekonania się, czyśmy się wgryźli w „teren”, czy mamy przyjaciół.

Nadszpiekowanie szybko okazało się, że plebiscyt ów przyniósł sukces. Część potrzebnej kwoty ofiarowali zamożni przyjaciele. Część nadesłali czytelnicy. W 1954 roku „Kultura” przeprowadziła się do nowego domu, rok później spłaciła długi. Ponieważ czytelnicy nadal nadsyłali czeki – powołano Fundusz „Kultury”, który przez lata służył m.in. wspieraniu polskiej opozycji. Chociaż tym samym adres „Maisons-Laffitte” przestał być aktualny, nazwa miasteczka, która stała się synonimem „Kultury”, funkcjonuje w tej roli po dziś dzień.

Jardin d’hiver, czyli ogród zimowy, weranda dobudowana została do głównej bryły domu prawdopodobnie w latach trzydziestych. W wystroju wnętrza zwracają tu uwagę secesyjne witraże w oknach, za którymi kryje się korytarzyk, wiodący do kuchni i jadalni oraz – a może przede wszystkim – stół. Jest to stół z Hotelu Lambert, pamiętający księcia Czartoryskiego, a подарowany „Kulturze” przez Stefana Zamoyskiego. Rozsuwany, kilka razy w roku służył co liczniejszym spotkaniom w siedzibie Instytutu Literackiego. Znajdziemy tutaj liczne pamiątki, od płaskorzeźby z portretem Piłsudskiego i znanych, przedstawiających Marszałka karykatur autorstwa Zdzisława Czermańskiego po wiszące nad drzwiami wejściowymi dzieło propagandy komunistycznej z czasów stanu wojennego – plakat pod tytułem „Z pnia narodowej zdrady”, którego bohaterami są między innymi założyciele Instytutu Literackiego Jerzy Giedroyc i Gustaw Herling-Grudziński, a także stojące na półkach liczne prezenty przywożone przez gości z kraju.

Jeśli do Redaktora przychodziło więcej gości, zamiast w swoim gabinecie przyjmował ich właśnie tutaj. Zazwyczaj jednak do

jardin d'hiver po „poważnych” rozmowach gabinetowych co istotniejszy – bądź po prostu bliscy „Kulturze” – goście Redaktora zapraszani bywali na szklaneczkę whisky. Ale przede wszystkim – tutaj właśnie odbywały się przyjęcia, organizowane w „Laficie” co najmniej dwa razy do roku: na „jajeczko” przed Wielkanocą i „śledzika” przed Bożym Narodzeniem. Zwłaszcza od połowy lat pięćdziesiątych, kiedy tłumnie odwiedzali „Kulturę” goście z kraju, były to spotkania liczne i ważne, jeśli chodzi o znaczenie uczestniczących w nich gości. W rozmaitych latach można tu było spotkać i Marię Dąbrowską i Marka Hłaskę, Jerzego Andrzejewskiego i Wacława Zbyszewskiego, Zbigniewa Brzezińskiego, Jerzego Stempowskiego, Romana Polańskiego i Czesława Miłosza.

Jedno z takich przyjęć tak wspominała wybitna poetka, Julia Hartwig:

Mimo że przyjeżdżamy punkt pierwsza, jest już pełno gości. Sporo młodych, jedni w muszkach, drudzy w swetrach lub koszulach. Są Romanowiczowie, Hellerowie, ktoś z Wolnej Europy, ktoś z Głosu Ameryki, autorzy „Kultury” – Brońscy, Krzysztofowie Pomianowie, profesor Kłoczowski, Wojtek Karpiński, ksiądz Zenon Modzelewski i Danusia Szumska, Renata Gorczyńska, wydawca „Pulsu” Jan Chodakowski, oboje Kuczyńscy, Kot Jeleński, Teresa Torańska, Wojciech Giełżyński, Teresa Dzieduszycka, pracownicy techniczni „Kultury”, poza tym sporo innych, nieznanych mi gości. Wkrótce po nas zjawiają się Kazikowie Brandysowie. W holu, przy osobnym stole, nieco na uboczu, ale gęsto otoczony, siedzi Józef Czapki.

W dni powszednie *jardin d'hiver* ożywał wieczorem. Wtedy tak zwani „zewnątrzni” pracownicy szli do domu. Była to np. sekretarka, która w „Kulturze” pojawiła się w latach sześćdziesiątych, czy Henryk Giedroyc, który jako jedyny z zespołu miał swoje własne poza Instytutem życie, w połowie lat sześćdziesiątych ożenił się, miał mieszkanie w Paryżu i grono przyjaciół... Wówczas Jerzy Giedroyc i Hertzowie spotykali się tu i słuchali radia, a w kolejnych latach, oglądali telewizję. Przeglądali zaległą prasę i czytali korespondencję, a koło północy rozchodzili się do swoich pokojów. Jerzy Giedroyc, który od lat przedwojennych cierpiał na bezsenność

i wystarczało mu w nocy cztery-pięć godzin snu, jeszcze w łóżku czytał nadesłane maszynopisy.

Można rzec, że do roli, jaką odegrał jako redaktor „Kultury”, Jerzy Giedroyc przygotowywał się już przed wojną.

Urodził się 27 lipca 1906 roku w dzisiejszej stolicy Białorusi – Mińsku, jak sam go do końca życia nazywał – Litewskim. Jego matka, Franciszka Starzycka, była córką jednego z najlepszych w mieście krawców. Ojciec, Ignacy Giedroyc pochodził ze starego, lecz całkiem już w tej gałęzi zubożałego rodu litewskich księży. Z zawodu był aptekarzem. Giedroyc wspominał, że atmosfera domu była bardzo kresowa, a rozumiał przez to – bardzo tolerancyjna.

W 1916 roku Jerzy wysłany został przez rodziców do Moskwy, do gimnazjum Komitetu Polskiego. W rosyjskiej stolicy był świadkiem rewolucji lutowej 1917 r. Po wcześniejszym zakończeniu roku szkolnego wyruszył do Petersburga, gdzie miał nadzieję znaleźć stryjecznego brata swego ojca, Wiktora Giedroycia. Kiedy to się nie udało, wyruszył w powrotną drogę do domu przez ogarniętą rewolucją Rosję. W Mińsku kontynuował naukę w gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej, prowadzonym przez Mariana Massoniusa. Po przeprowadzce rodziny do Warszawy – a stało się to prawdopodobnie w połowie roku 1918 – zaczął uczęszczać do Gimnazjum Jana Zamoyskiego, tu też zdał egzamin dojrzałości. Miał 14 lat, kiedy w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku na ochotnika wstąpił do wojska. Jako telegrafista służył w Dowództwie Okręgu Generalnego numer I w Warszawie.

W 1924 r. zaczął studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Niedługo potem wstąpił do korporacji akademickiej Patria i został jej prezesem. Akurat w tym roku to Patrii przypadło przewodniczenie Koła Międzykorporacyjnego, został więc Giedroyc i jego prezesem. W czasie przewrotu majowego 1926 r. początkowo, jako legalista, opowiedział się przeciwko Józefowi Piłsudskiemu. Widząc chaos i panikę w obozie rządowym szybko jednak zmienił zdanie i poparł Marszałka, który już na zawsze miał pozostać dla niego wzorem męża stanu. Pod koniec studiów Jerzy Giedroyc dorywczo pracował w dziale reklamowym Polskiej Agencji Telegra-



Gabinet Jerzego Giedroycia. Zdjęcie zrobione przez okno od strony ogrodu, fot. Henryk Giedroyc, 1955.

ficznej, w „Kurierze Warszawskim” i „Warszawianie”. Jednocześnie rozwijały się jego kontakty wśród młodych ludzi, zaangażowanych politycznie. Od 1928 r. – za sprawą zaprzyjaźnionego oficera II Oddziału Jana Karczewskiego – pracował w biurze prasowym Rady Ministrów. Został wówczas członkiem nieformalnego – jak sami się nazywali – Klubu Złośliwych Szczeniaków. W „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc tak opisywał jego działalność:

Byli to głównie sekretarze ministrów, a klub polegał na tym, że siedziało się razem na wódce i załatwiano sprawy państwowe, dublując Radę Ministrów i ustalając, co trzeba zrobić, co zasugerować.

Punktem zwrotnym w politycznej biografii Giedroyc'a było przystąpienie w 1928 r. do organizacji „Mysł Mocarstwowa”, skupiającej młodych konserwatystów, ale też – co może ważniejsze – wydającej pismo o tej samej nazwie. Po ukończeniu wydziału prawa w 1929 r. Jerzy Giedroyc rozpoczął pracę jako referent prasowy i parlamentarny w Ministerstwie Rolnictwa. W roku 1930 został w tym resorcie sekretarzem ministra Leona Janty-Polczyńskiego, przedstawiciela obozu konserwatywnego.

W tym samym 1930 roku Jerzy Giedroyc opracował pierwszy numer pisma „Wschód” (następnie redagowanego przez Włodzimierza Bączkowskiego), a następnie objął redakcję „Dnia Akademickiego”, który rok później przekształcił w „Bunt Młodych”. Od 1933 „Bunt” wychodził jako samodzielny dwutygodnik, a w 1937 r. zmienił się w tygodnik „Polityka”. Już po wojnie, wiele starań kosztowało Jerzego Giedroyc'a zdobycie roczników tych pism – dziś znajdują się one w jego gabinecie.

Jerzy Giedroyc od początku lat 30. związany był z obozem konserwatywnym. Był nawet członkiem Stronnictwa Prawicy Narodowej, czyli ugrupowania księcia Janusza Radziwiłła. Z biegiem czasu Giedroyc ewoluował ku pozycji, którą sam następnie określał jako „wewnętrzną opozycję obozu rządzącego”. Za publikację krytycznego wobec władzy tekstu „Kirow a Pieracki” groził mu miało nawet internowanie w obozie w Berezie. W wyniku konfliktu z ministrem rolnictwa Juliuszem Poniatowskim w 1936 roku przeszedł do Ministerstwa Przemysłu i Handlu, gdzie wiceministrem został jeden z jego przyjaciół, Antoni Roman.

Od 1931 roku żonaty z Rosjanką Tatianą Szwecow, rozszedł się z nią w 1937 roku. Ponownie spotkali się w 1939 roku. Gdy po wybuchu wojny Jerzy Giedroyc jako urzędnik państwowy ewakuowany był do Rumunii, zabrał ze sobą byłą żonę i młodszego brata, Henryka.

Stojąc w hallu przed gabinetem Jerzego Giedroycia, możemy poczuć się, jak jeden z tysięcy gości, którzy przybywali na spotkanie z Redaktorem „Kultury”. Od połowy lat pięćdziesiątych spora część rozmówców Redaktora byli to goście z kraju, dzięki czemu Jerzy Giedroyc miał doskonałe rozeznanie tego, co się dzieje nad Wisłą. A było to dla wielu ogromne zaskoczenie – przyjeżdżali prosto z Warszawy, by przekonać się, że Księżę z Maisons-Laffitte zna lepiej od nich aktualne krajowe wydarzenia, układy sił i zakulisowe rozgrywki polityczne. Miał przy tym Giedroyc wielki dar słuchania i szacunek dla każdego rozmówcy – po latach Adam Michnik sam się dziwił, że kiedy odwiedził Maisons-Laffitte po raz pierwszy jako osiemnastolatek, rozmawiano z nim poważnie. A przyjaciel tego domu, architekt i fotografik Bohdan Paczowski wspominał:

Każde spotkanie z Giedroyciem zobowiązywało. Pomimo mrocznych nieraz konkluzji, dodawało życia, zachęcało do pracy nad sobą. Potrafił słuchać tego, co mówią inni, był nieśmiały i małomówny, co niektórzy brali za wyniosłość, umiał przyznawać się do własnych błędów i z zażenowaniem zmieniał temat, ilekroć próbowało się wspomnieć o jego zasługach. Siła wewnętrzna, wielkość wizji i dokonane dzieło nie przeszkodziły mu w zachowaniu skromności.

Podobnie wspominała Giedroycia Ewa Berberysz:

Przy pierwszej wymianie zdań onieśmienie przysło, zorientowałam się, że siedzący przede mną Redaktor – wbrew panującej opinii, że nieprzystępny i wyniosły – jest człowiekiem wręcz nie znośnym postawy na kolanach. Przeciwnie, traktuje rozmówcę na równi, ale nie na zasadzie brat-łata; prawie z nikim nie przechodzi na ty.

Na framudze drzwi, prowadzących do gabinetu Redaktora, znajduje się tabliczka z napisem „Cave hominem”, a więc „Strzeż

się człowieka”. Można ją potraktować jako żart, jeśliby uznać, że ma ostrzegać wchodzących. Ale jest też symboliczna, jeśli założymy, że Jerzy Giedroyc ostrzegał... samego siebie.

Redaktor przyznawał, że nieufności do ludzi nabrał po wydarzeniach wojennych, a zwłaszcza pobycie w Bukareszcie. Tam przez wiele miesięcy Giedroyc zmagał się z kampanią fałszywych oskarżeń, wraz z oficjalnie wytoczoną sprawą karną i oskarżeniami o łapówkarstwo, jaką wytoczyła wobec niego ekipa generała Sikorskiego, która uważała go za szarą eminencję piłsudczyków na emigracji. Jerzy Giedroyc wspominał pod koniec życia:

Moje stosunki z ludźmi to są bardzo skomplikowane. Ja praktycznie ludzi nie lubię, to znaczy boję się ludzi. Ja jestem człowiekiem bardzo kameralnym, nie znoszę jakichś większych zebrani, coś takiego, po prostu źle się czuję, nie umiem się nawet odpowiednio zachować. Dla mnie 2-3 osoby to jest maksimum, które wytrzymuję. (...) To się zmieniło w dużym stopniu w Rumunii. Przed wojną mimo wszystko prowadziłem jakieś życie towarzyskie, to znaczy bawiło mnie chodzenie na jakieś bale, do kawiarni, do teatru, jakieś takie bezinteresowne przyjemności. Bardzo zabawne – to było właściwie częścią mojej roboty – wisiałem na telefonie. Dzisiaj nie znoszę telefonu, prawda. Nie lubię rozmów telefonicznych ani telefonu. To jest jakieś dziwne zahamowanie, taki ślad, który zostawiły te przejścia w Rumuni, dla mnie bardzo ciężkie. To była akcja, zorganizowana przez ludzi Sikorskiego, to jest profesora Kota, którzy za wszelką cenę chcieli mnie skompromitować. Były jakieś próby prowokacji, że biorę jakieś łapówki, za dawanie jakichś wiz, coś takiego, takie historie, to miało charakter bardzo nieprzyjemny. (...) Oni sobie wytłumaczyli w Londynie czy Paryżu, Kot i Sikorski, że jest jakaś mafia piłsudczykowska, taki tajny rząd piłsudczykowski i że ja jestem reprezentantem tego rządu i pilnuję ambasady. (...) Potem Kot już w późnych latach, kiedy był już człowiekiem schorowanym, tutaj w Paryżu w bardzo ciężkich warunkach był w hotelu, w którym zawsze się zatrzymywał i po prostu nie miał pieniędzy na zapłacenie tego hotelu, także ja pojechałem, zaprosiłem go do nas, zapłaciłem za ten

hotel... Walizki, które były bardzo cenne, bo to były dokumenty i jakieś ogromne ilości zwoił książek ze swoich specjalności naukowych.

Także potem te stosunki osobiście się ułożyły bardzo dobrze. (...)

To jest jakaś u mnie dziwna cecha: z chwilą, kiedy Kot poszedł na dno, to uważałem, że trzeba mu pomóc. Bardzo lubię sprawy ludzi przegranych.

Jak wyglądały spotkania z Jerzym Giedroyciem? Z reguły Redaktor witał gości w drzwiach i poprzez hall prowadził do swojego gabinetu.

W rozmowie – zwłaszcza gośćmi z kraju – najważniejsze były zawsze sprawy bieżące. Nierzadko rozmowa, zaplanowana na 30 minut, przeciągała się i do półtorej-dwóch godzin. Pokój, w którym te rozmowy się odbywały, niewiele się zmienił: wciąż znajdują się tu repliki broni białej i palnej – pasji Jerzego Giedroycia – oraz inne pamiątki, zdobiące ściany gabinetu. Znajdziemy tu m.in. kolejne mapy, portrety ikony Wielkiej Emigracji, księcia Adama Jerzego Czartoryskiego oraz Józefa Jana Giedroycia, który był jednym z przywódców powstania listopadowego na Litwie, ale też oprawiony, ostatni numer założonego przez Alberta Camus dziennika „Le Combat”. Krzyczy z niego tytuł „Silence, on coule!”, a więc „Cisza, toniemy!”. Z pewnością nieprzypadkowo powiesił go tu Jerzy Giedroyc, który wielokrotnie mówił o, jak sam to nazywał, „apokaliptycznych” stronach swej osobowości. Gabinet Redaktora niewiele zmienił się po jego odejściu. Przybyła jego maska pośmiertna.

W tym niewielkim pokoiku przez ponad pół wieku Jerzy Giedroyc pracował nie tylko nad wydawaniem kolejnych książek (w Instytucie Literackim wydano blisko 400 tytułów), ale również kolejnych numerów swoich pism – 637 numerów „Kultury” i 171 numerów „Zeszytów Historycznych”. Czy pracował sam? W jednym z numerów „Kultury” w roku 1955 ukazało się żartobliwe wyjaśnienie:

Szereg czytelników prosi nas o podanie składu osobowego „Kultury”.

Do zespołu należą: Redaktor Jerzy Giedroyc, Redaktor Giedroyc Jerzy, Jerzy Giedroyc, Redaktor Giedroyc, Jerzy oraz inni członkowie zespołu „Kultury”.

Istotnie, w „Kulturze” nigdy nie istniała redakcja w tradycyjnym słowa znaczeniu, z zebraniemi, przydzielaniem tematów itd... Redakcja, którą stworzył Jerzy Giedroyc miała charakter epistolograficzny. Już wtedy, kiedy trafił do „Propagandy” Armii Andersa, Giedroyc rozpoczął tytaniczną, wieloletnią pracę, polegającą na odszukiwaniu rozsianych po całym świecie swoich współpracowników sprzed wojny, ale też i tych, z którymi nie miał wcześniej bliskich relacji, a po prostu uważał ich za wartościowych autorów i cenne pióra. Słał do nich listy jeden po drugim – nierzadko latami nie otrzymując odpowiedzi – nawiązywał kontakty, namawiał do pisania. Dziełem życia owego „niepublikującego” Redaktora stały się przeto zbiory jego korespondencji, od lat opracowywane i wydawane w opasłych tomach. W uporządkowanym już dzisiaj Archiwum Instytutu Literackiego znajduje się ok. 150.000 listów do Redaktora i kopii odpowiedzi Jerzego Giedroycia – kopii, ponieważ miał on wspaniałą zwyczaj pisanie listów przez kalkę i zachowywania sobie odbitek. Dzięki temu publikowane dzisiaj tomy korespondencji z reguły stanowią dość zwartą i kompletną całość. Do tej pory drukiem ukazała się korespondencja Redaktora z m.in.: Andrzejem Bobkowskim, emigrantami ukraińskimi, Witoldem Gombrowiczem, Konstantym Jeleńskim, Leszkiem Kołakowskim, Juliuszem Mieroszewskim, Czesławem Miłoszem, Janem Nowakiem-Jeziorańskim, Bohdanem Osadcukiem, Teodorem Parnickim, Jerzym Stempowskim i Melchiorem Wańkowiczem.

Ten epistolograficzny fenomen tak opisywał Marek Nowakowski:

Korespondencja była istotą pracy pana Jerzego. Sugerował pomysły artykułów, proponował tematy, wyrażał swoje krytyczne uwagi, oceny. Przecież w taki sposób namówił w Argentynie Gombrowicza do pisania „Dziennika”, którego partie ukazywały się regularnie w „Kulturze”. Choć, jak wyznał mi raz, wcale nie był admiratorem prozy mistrza Witoldo. Tak samo Miłosz był inspirowany tą metodą perswazji na odległość. Wynalazł zapomnianego, schorowanego Leo Lipskiego w Izraelu i jego oryginalna proza została wydana przez Instytut Literacki. Także Zygmunt Haupt, znakomity prozaik, mieszkający na południu USA, był odkryty przez Redaktora. Można wymienić

wiele nazwisk zapomnianych pisarzy, którzy zaistnieli dzięki niemu. Nie tylko literatury dotyczyła epistolograficzna działalność Jerzego Giedroycia. Bywała na wskroś polityczna, budziła potrzebę niezależnego myślenia w kraju. Zachęceni przez niego publicyści, eseiści, pisywali pod pseudonimami i nadsyłali swoje teksty do „Kultury”.

Główny trzon owej niewidzialnej redakcji stanowili, jako się rzekło ci, z którymi Redaktora związały czasy wojenne: Józef Czapski, Zofia i Zygmunt Hertzowie, Gustaw Herling-Grudziński. W 1950 roku dołączył do zespołu Juliusz Mieroszewski, który wkrótce miał się stać porte-parole, a więc wyrazicielem myśli Jerzego Giedroycia, on sam z reguły w redagowanych przez siebie pismach nie publikował. Rzut oka na biurko Redaktora i ustawione tam zdjęcie Mieroszewskiego pokazuje, że odegrał on w „Kulturze” rolę wyjątkową. Tak Mieroszewskiego wspominał sam Redaktor:

Współpraca z Mieroszewskim zaczęła się stosunkowo późno, bo we wczesnych latach pięćdziesiątych. Ja Mieroszewskiego nie znałem przed wojną, poznałem go w wojsku, gdzie był publicystą „Parady”, tygodnika ilustrowanego, wydawanego przez Anglików w Kairze dla polskiego wojska. Ma się rozumieć, okres bezpośrednio po wojnie był okresem bardzo trudnym dlatego, że Mieroszewski wyjechał do Anglii, gdzie był bardzo pochłonięty urzędowaniem się. Myśmy tak samo ograniczaliśmy się wówczas do ludzi, z którymi już kiedyś współpracowałem. Także to nastąpiło dopiero we wczesnych latach pięćdziesiątych. Początkowo to były korespondencje z Londynu, w dosłownym tego słowa sensie, jakieś informacyjne, i bardzo szybko to przeszło na publicystykę. Jeśli chodzi o formę pisania, ona była bardzo charakterystyczna (...). To jest jeden z tych nielicznych polskich publicystów, mających styl niesłychanie zwięzły, oszczędny. Widziałbym pewną analogię bardzo odległą, to jest Mochnacki i Klaczko. Bardzo zbliżony sposób myślenia, bardzo trzeźwy, bardzo niekonwencjonalny. (...) Niewątpliwie, jeśli idzie o sprawy zasadnicze, dotyczące jakichś koncepcji politycznych, to tutaj można mówić o wzajemnej współpracy, wzajemnym oddziaływaniu. Jedyna rzecz,

która wymagała jakiegoś dokładniejszego docieśnięcia, to była problematyka rosyjska. Nie dlatego, żeby Mieroszewski się nie zgadzał z naszymi koncepcjami rosyjskimi, tylko dlatego, że on po prostu nie znał problematyki rosyjskiej. Nie znał ani języka, ani literatury, i tutaj powiedzmy oddziaływanie czy tłumaczenie pewnych rzeczy wymagało specjalnego wysiłku.

Wśród przedwojennych współpracowników Giedroycia, którzy po wojnie pisywali do „Kultury” byli m.in. ojciec Innocenty Bocheński, Wacław Zbyszewski, Ryszard Wraga, Jan Ulatowski. W późniejszym czasie byli też tacy, którzy do „Kultury” pisywali z kraju - jak choćby Stefan Kisielewski. Podobnie też, jak przed wojną, uważał Jerzy Giedroyc redagowane przez siebie pismo przede wszystkim za instrument oddziaływania politycznego.

W gabinecie Jerzego Giedroycia znajduje się też niepozorna odbitka, którą powiesił obok okna, nad stolikiem, na którym stoi maszyna do pisania. To portret Józefa Piłsudskiego, wydrukowany - jak wspominał - potajemnie w Palestynie staraniem byłego sekretarza ministra Becka, Wiktora Drymmera. Potajemnie, bo w czasie rządów ekipy generała Sikorskiego okazywanie sympatii dla Marszałka nie było wskazane. Notabene, w gabinecie Redaktora znajduje się też kolejna część zbiorów bibliotecznych Instytutu, ustawionych na specjalnych półkach, w dwóch rzędach. O bibliotekę już w czasach rzymskich Redaktor bardzo dbał, pilnował jej porządkowania i katalogowania. Numer pierwszy w katalogu zajmowały... „Pisma - Mowy - Rozkazy” Józefa Piłsudskiego.

Po lewej stronie od wyjścia z gabinetu Redaktora znajdują się kolejne pamiątki, a wśród nich - odlew dłoni Józefa Czapskiego i maska pośmiertna malarza. Natomiast na półce vis-a-vis wejścia do gabinetu niespodzianka: niezbyt natarczywej urody dwa baranki. Skąd się wzięły? W rozmowie z Teresą Torańską Jerzy Giedroyc tłumaczył, że w tych okropnych zabawkach przysłano do Domu mikrofilmy:

Nie wiedzieliśmy, [co jest w zabawkach] tylko zastanawialiśmy się, kto miał taki głupi pomysł. No i na wszelki wypadek spróbowaliśmy, czy tam czegoś nie ma. Rozpruliśmy - i rzeczywiście...

W tym pokoju, aż do śmierci pracował Henryk Giedroyc. Od dziecka – ze względu na niesforną fryzurę – zwany „Dudkiem” lub „Dudą”, gromadził wizerunki tego ptaka, które możemy do dziś oglądać. W „Kulturze” zajmował się administracją, prenumeratami i współpracą z przedstawicielami, których Instytut miał na niemal wszystkich kontynentach. Po śmierci Jerzego Giedroycia w 2000 roku przejął kierownictwo Instytutu, pierwotnie z Zofią Hertz, a kiedy ta odeszła 3 lata później, zarządzał nim sam. Zmarł w roku 2010.

Jest to jedno z pomieszczeń, które najlepiej obrazują, jak dom miał wyglądać w zamyśle jego twórców, zachowało się tu najwięcej elementów pierwotnego wystroju czyli z początku XX wieku. Możemy zobaczyć oryginalną boazerię, tkaniny na ścianach i piękną stolarkę okienną w tak zwanych ryzalitach, czyli wysuniętych nieco do przodu elementach elewacji, którym pokoje te zawdzięczają szerokie, bardzo przydatne parapety. Okna te zostały wymienione po śmierci Zofii Hertz, kiedy Instytutem kierował Henryk Giedroyc. Przez domowników zwany czasem żartobliwie „Henrykiem Odnowicielem”, przeprowadził wówczas kilka niezbędnych remontów, których wymagał bardzo zły stan techniczny domu. W pokoju pana Henryka stykamy się z tym, co dla Domu „Kultury” charakterystyczne – ogromną biblioteką Instytutu, która zaczęła powstawać jeszcze w Rzymie. Początki tych zbiorów tak wspominał Waław A. Zbyszewski, wspominając pierwszy dom „Kultury” na avenue Corneille:

W domu, ubogim i próchniejącym; znajdowała się prawo od wejścia biblioteka: i widok tych książek, pieczołowicie zebranych, ponumerowanych, pokatalogowanych, starannie odkurzonych, poukładanych na długich półkach aż po powałę – w tym domu, w którym nie było mebli, nie było opału, nie było nic – jeszcze zwiększał poczucie wyzwania świata, epoche, życiu, jeszcze pogłębiał wrażenie bezsensowności, jeszcze wyostrzał wrażenie zaczarowanego domostwa.

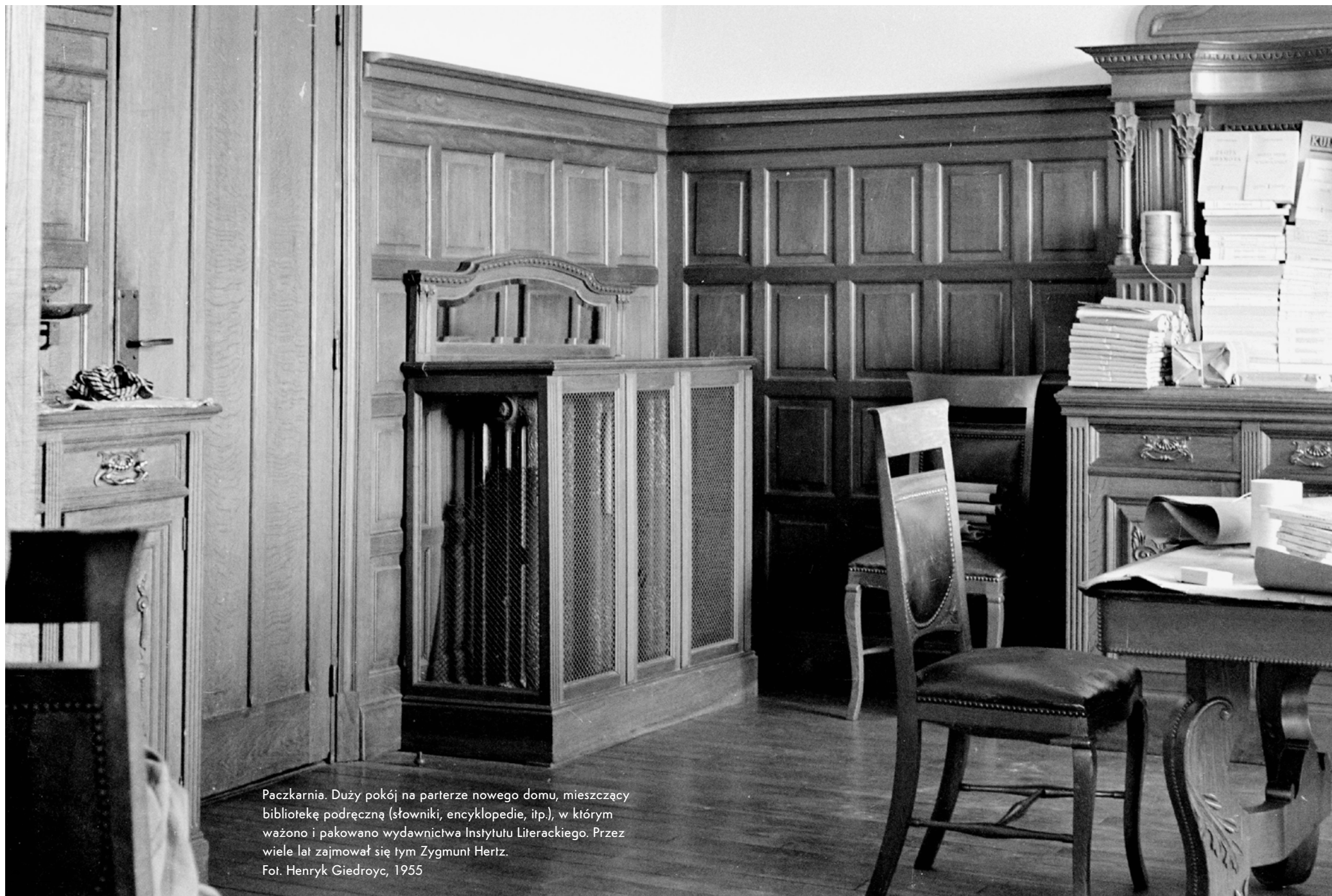
Jerzy Giedroyc z ogromnym pietyzmem podchodził do swojej biblioteki i osobiście bardzo dbał o to, by uzupełniać brakujące tomy. Świadczy o tym zachowana korespondencja. Z jednej stro-

ny widać w niej starania o pozyskiwanie wydawnictw krajowych, w tym oczywiście zwłaszcza literackich, historycznych, ale też tych dokumentujących życie w PRL – od prasy codziennej poprzez druki specjalistyczne, roczniki statystyczne, a nawet książki telefoniczne. Z drugiej w kontaktach z wydawcami przywiązywał wagę do tego, by ci nadsyłali mu egzemplarze okazowe. Z trzeciej zaś – bezlitośnie ścigał współpracowników redakcji, by zwracali pożyczane książki i czasopisma.

Kiedy „Kultura” przeniosła się do swej docelowej siedziby, półki z książkami i dokumentami szybko zajmowały kolejne pomieszczenia domu, w latach osiemdziesiątych XX wieku jednak nie było już wolnego miejsca. Wtedy to Jerzy Giedroyc wybudował osobny budynek biblioteki.

Drugi element charakterystyczny dla całego Domu to kolekcja najrozmaitszego charakteru i pochodzenia dzieł sztuki, antyków czy po prostu pamiątek. Obok najzupełniej osobistej kolekcji dudków Pana Henryka są tu też dwie grawiury: „Grodno” i „Mińsk” oraz mapa Rzeczypospolitej. Tego typu obiekty były przez mieszkańców Domu przez lata wyszukiwane w paryskich galeriach, księgarniach czy na pchlich targach, przy czym w rozmaitych ciekawostkach i polonikach specjalizował się Zygmunt Hertz, natomiast pasją Jerzego Giedroycia była broń – zarówno palna, jak i biała.

Ten pokój w zamyśle budowniczych domu miało być jadalnią i z pewnością nie przyszłoby im nigdy do głowy, że przez pół wieku nazywany będzie... paczkarnią. Tutaj od końca 1954 roku przygotowywano do wysyłki książki wydawnictwa Instytutu Literackiego i listy. Pakowane w koperty lub paczki – bo przedstawiciele Instytutu w niemal wszystkich krajach wolnego świata otrzymywali do dalszej dystrybucji po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt egzemplarzy – były na miejscu frankowane, a następnie zawożone na pocztę. Zazwyczaj w wysyłce pism pomagali goście Domu „Kultury”, często również przyjaciele Redakcji z Paryża, a nawet goście z kraju. Z tych czasów zachowały się pieczętki, maszyna do frankowania oraz waga – a paczki należało precyzyjnie ważyć i umiejętnie korzystać z najtańszej aktualnie taryfy pocztowej.



Paczkarnia. Duży pokój na parterze nowego domu, mieszczący bibliotekę podręczną (słowniki, encyklopedie, itp.), w którym ważono i pakowano wydawnictwa Instytutu Literackiego. Przez wiele lat zajmował się tym Zygmunt Hertz.
Fot. Henryk Giedroyc, 1955

Za czasów Pana Henryka paczkarni przywrócono wygląd zbliżony do pierwotnego – po dekadach rozebrano regały, a książki przeniesiono na półki, umieszczone wyżej, pod sufitem. Dzięki temu dziś możemy znowu podziwiać piękną boazerię i meble. Encyklopedie, słowniki, almanachy – które były często wykorzystywane w bieżącej pracy redakcyjnej w czasie, kiedy wychodziła „Kultura” – stały się na co dzień mniej niezbędne po śmierci Redaktora Jerzego Giedroycia.

W tym pokoju pracowała Zofia Hertz. Od pewnego czasu znajdowało się tu również biurko sekretarki. Warto zwrócić uwagę na rysunki Józefa Czapskiego, jeden przedstawiający kobietę z psem – prawdopodobnie właśnie panią Zofię ze spanielem Blakiem – i tryptyk scen nadmorskich. Tutaj Zofia Hertz prowadziła księgowość Instytutu, ale też zajmowała się ogromem zupełnie innych spraw – od korekty po tłumaczenia (a tłumaczyła dla „Kultury” m.in. teksty Arthura Koestlera i Curzia Malaparte). Mało kto pamięta, że od początku lat sześćdziesiątych aż do upadku komunizmu Zofia Hertz prowadziła w miesięczniku dział „Humor krajowy”, w którym publikowano najśmieszniejsze anegdoty, przeważnie – rzecz jasna – natury politycznej.

W przywoływanym już wspomnieniu, Waław Zbyszewski pisze o Zofii Hertz:

Jak ta Zosia jest w stanie robić korektę, rachunki, prowadzić kasę i korespondencję, biegać do drukarni, łamać numer, pilnować rewizji, czuwać nad ekspedycją, zajmować się nadto wydawnictwami, a ponadto prowadzić dom zawsze pełen gości, i gotować strawę dla całej ferajny - a przy tym wyglądać świeżo, młodo, elegancko i szykownie, to jest doprawdy sekret nad sekrety. Ale najistotniejsza jej rola jest nieuchwytna. [...] W „Kulturze” Zosia Hertz decyduje o przyjęciu do łoży, względnie jeszcze częściej o wydaleniu z grona *fidèles* [czyli: wiernych]. To ona jest strażnikiem i westalką „Kultury”. A także ona decyduje o ludzkich stosunkach w laffitte’owskim gnieździe.

W „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc pisał natomiast:

W historii Instytutu Literackiego i „Kultury” Zosia i Zygmunt Hertzowie odegrali rolę decydującą. Byli wprowadzeni we wszystkie sprawy łącznie z tymi, które wymagały zachowania maksymalnej dyskrecji. Dotyczy to zwłaszcza Zosi, która stała się główną bohaterką tej historii nie tylko dzięki swej energii, ale również dzięki całkowitemu oddaniu się naszej sprawie i gotowości wzięcia na siebie związanego z tym ryzyka. [...] Jej wpływ na politykę „Kultury” i na mnie był zawsze bardzo wielki. Ma ona bardzo dużo zdrowego rozsądku i wielokrotnie umiała mnie powstrzymać przed rozszerzeniem frontu, angażowaniem się w nowe i ryzykowne przedsięwzięcia.

W innym miejscu zaś oceniał:

Zosia była o tyle nieoceniona, że przede wszystkim zajmowała się rachunkami, buchalteriami, tymi wszystkimi skomplikowanymi rzeczami... Ja do tej pory nie orientuję się w tych podatkach, to było na jej głowie. A poza tym, praktycznie rzecz biorąc jednocześnie odgrywała rolę sekretarki redakcji, korekty, no i kwestia prowadzenia domu – eksperymentowała na naszych żołądkach, te eksperymenty kulinarne były czasami bardzo śmieszne.

W jadalni, u szczytu stołu, najbliższej wejścia, zasiadał zawsze Redaktor i tutaj zaczynał się dzień pracy w „Kulturze”. Zofia Hertz wspominała to tak:

Pierwszy wstawał zawsze Jerzy, przygotowywał stół do śniadania, wstawał wodę na herbatę. Potem wstawałam ja, szykowałam śniadanie, nie tylko dla nas, mieliśmy stale gości. O dziewiątej wszyscy zaczynali schodzić się do kuchni. Przy śniadaniu rozmawialiśmy, później przychodziła poczta.

Nie zaczynaliśmy dnia pracy bez jej przejrzenia. Listy trzeba było posortować, niektóre od razu komentowaliśmy, na inne trzeba było na bieżąco odpowiadać. Przychodziły zamówienia na książki, prośby o prenumeraty, bądź rezygnacje z nich, rachunki. Takie sprawy musiały być prowadzone na bieżąco.

Na tym schodził nam czas do obiadu, który ja gotowałam. Zmywali zawsze mężczyźni, były wyznaczone dyżury na każdy dzień tygodnia. Jeśli mieszkali u nas goście, ich również włączało się do zmywania. Po obiedzie czekały na nas sprawy redakcyjne, adjustacje, korekty, korespondencja administracyjna, korespondencja Jerzego. Jeśli trzeba jeździłam do drukarni, Jerzy jeździł ze mną w czasie łamania numeru, bardzo to lubił.

Ekspedycja „Kultury” odbywała się w drukarni, trwała dwa dni. Zdarzało nam się angażować do niej przyjaciół z kraju będących w Paryżu przejazdem. I trzeba przyznać, wszyscy tę pracę bardzo lubili. Normalnie w domu pracowaliśmy do późnej nocy.

Widziany oczyma jednego z gości „Kultury”, Marka Nowakowskiego, ten rozpoczynający się w jadalni dzień pracy wyglądał tak:

Śniadanie spożywaliśmy w jadalni z okienkiem do kuchni. U czoła stołu siadywał Jerzy Giedroyc, wysoki, postawny pan o intensywnie niebieskich oczach, w tweedowej miękkiej marynarce, zawsze z fulariem pod szyją zamiast krawata. Jeszcze przed posiłkiem zapalał papierosa. Jego młodszy brat Henryk przyjeżdżał punktualnie przed dziewiątą kolejką podmiejską z Paryża i też zasiadał z nami do śniadania. Wkrótce pojawiał się listonosz, przynosił pocztę. Pan Jerzy rozdzielał korespondencję. Prenumeraty, rachunki, rozliczenia finansowe odkładał na osobny stosik po stronie Zofii Hertz i brata Henryka. Oboje bowiem prowadzili sprawy finansowe i administracyjne wydawnictwa. Listy od czytelników i teksty z zakresu eseistyki kulturalnej, prozy, poezji to domena Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który dwa razy w roku przyjeżdżał z Neapolu na kilkumiesięczny pobyt do Lafitu i zajmował się stroną literacką miesięcznika i wydawnictwa, recenzował, oceniał, prowadził korespondencję

z czytelnikami. Sporą część poczty zostawiał dla siebie pan Jerzy. Mogły być to listy od Juliusza Mieroszewskiego z Londynu, Leopolda Ungera z Brukseli, Andrzeja Bobkowskiego z Gwatemali, Jerzego Stępowskiego z Berna i innych stałych współpracowników rozsianych na antypodach kuli ziemskiej, od Ameryki po Australię.

Przeglądaliśmy różnojęzyczną prasę, gawędziliśmy trochę i piliśmy mocną smolistą kawę parzoną na sposób włoski przez pana Gustawa. Rozpoczynał się dzień pracy w Maisons-Laffitte. Pan Jerzy podążał do swojego gabinetu. Zofia Hertz i Henryk Giedroyc, zwany przez najbliższych Dudkiem, do swoich pokojów. (...) Praca z przerwą na obiad trwała do późnego popołudnia. Henryk Giedroyc ruszał w drogę do Paryża, gdzie mieszkał z żoną, Włoszką. Młodzi pracownicy też opuszczali siedzibę „Kultury”. Zostawali pan Jerzy, Zofia Hertz, Gustaw Herling-Grudziński oraz Józef Czapski. On jadał posiłki u siebie i rzadko schodził na dół. Kłopoty ze wzrokiem znacznie utrudniały mu aktywność. Był jeszcze Black, ulubiony pies, czarny, długowłosy, z frędzlastymi uszami. Chyba już trzeciej generacji, ciągle identyczny, o takim samym imieniu. Black uwielbiał spacerować z panem Jerzym po ogrodzie. Chodzili dwa, trzy razy dziennie. Dla pana Jerzego dzień pracy jeszcze się nie kończył. Zamykał się w gabinecie i odpowiadał na listy.

Jak widać, nawet w jadalni redagowano „Kulturę” i szukano możliwości wpływu bieg dziejów i losy Polski. Kuchenne schody po prawej stronie od wejścia do jadalni prowadzą do królestwa Józefa Czapskiego.

Zaraz po wejściu na piętro znajduje się miejsce, w którym sam Czapski zorganizował sobie „suszarnię” nowych obrazów. Tu wiesział swoje dzieła zaraz po namalowaniu. Również dziś obok plakatów możemy tutaj podziwiać dwa jego obrazy. W całym domu znajduje się ponad 150 obrazów olejnych, rysunków, sztychów i akwarel. Najwięcej pędzla Józefa Czapskiego i Jana Lebensteina.

Józef Czapski początkowo był niezwykle aktywnym uczestnikiem fenomenu, jakim był Instytut Literacki i „Kultura”, w której sporo początkowo publikował. W 1950 roku wraz z Jerzym Giedroyciem reprezentował ją w Berlinie na Kongresie Wolności Kultury, podczas którego wygłosił przemówienie, w którym zwrócił uwagę na to, iż na Kongres nie zostali zaproszeni przedstawiciele wielu narodów zniewolonych przez Związek Sowiecki, m.in. Ukraińców, Białorusinów czy Węgrów. W swej płomiennej mowie ostrzegał wówczas Czapski:

Wiara w rozwój połowy wolnej Europy, podczas gdy druga jest totalizowana i dławiona – jest wiarą w fikcję.

To przemówienie zwróciło uwagę młodego ukraińskiego dziennikarza Bohdana Osadcuka, który z Czapskim i Giedroyciem się skontaktował, a w konsekwencji – miał się okazać nie tylko najważniejszym ukraińskim współpracownikiem „Kultury”, ale też współpracownikiem o najdłuższym w historii stażu. Jak dowodzi tego ich opublikowana korespondencja, Giedroyc z Osadcukiem blisko współpracowali przez równe pół wieku. A ich spotkanie w roku 1950 było – jak się miało okazać – preludium dla koncepcji polityki wschodniej, opartej na koncepcji ULB zakładającej, że dla niepodległości Polski kluczowe jest zabezpieczenie bytu państwowego krajów, leżących za naszą wschodnią granicą: Ukrainy, Litwy i Białorusi. Przez ćwierć wieku na łamach „Kultury” kontynuowano debatę, której punktem kulminacyjnym była publikacja w 1974 roku artykułu Juliusza Mieroszewskiego pod tytułem „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB”.

Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej – pisał Mieroszewski.

– (...) Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nieimperialistyczna Rosja i nieimperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania

swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski, jak rosyjski – zarówno zrealizowany, jak i potencjalny, czekający na koniunkturę. Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu. Tylko na tej drodze byłoby możliwe pogrzebanie katastrofalnego systemu „my albo oni”.

Jerzy Giedroyc nazywał Czapskiego ministrem spraw zagranicznych „Kultury”. Jak podkreślał, niezwykle pomocne były rozległe kontakty Czapskiego w europejskich sferach intelektualnych, ale też – arystokratycznych. W latach pięćdziesiątych Czapski odgrywał też rolę „kwestarza”, Instytutu Literackiego. Odbił wówczas dwie podróże do obu Ameryk, podczas których nie tylko zbierał datki, ale też pozyskiwał chętnych do fundowania całych numerów pisma. Podczas jednej z tych podróży nawiązał też kontakt z Czesławem Miłoszem, wówczas dyplomatą PRL w Stanach Zjednoczonych. Czapski przekazał wówczas poecie zaproszenie do Maisons-Laffitte, gdyby postanowił on pozostać na Zachodzie. Jak wiadomo, stało się tak już w 1951 roku i od tego czasu Instytut Literacki był głównym polskim wydawcą przyszłego noblisty.

Prawie całe wyposażenie pracowni Czapskiego zostało przez Instytut Literacki przekazane do Muzeum Narodowego w Krakowie, które kilka lat temu odtworzyło ten pokój w Pawilonie Józefa Czapskiego. Fotografia w rogu naprzeciw drzwi pokazuje, jak wyglądało to pomieszczenie z pełnym wyposażeniem. Z oryginalnych elementów wystroju zachował się może najciekawszy. Jest to drugi ze stołów z wyposażenia Hotel Lambert, подарowany „Kulturze” przez Stefana Zamoyskiego. Domowa legenda głosi, że właśnie przy tym stole pracował niegdyś Adam Mickiewicz. Informacja to równie nieweryfikowalna, co piękna – jak zwykł być mawiać Henryk Giedroyc, „*Si non e vero, e ben trovato*” (czyli: jeśli to nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone).

Stefan Zamoyski pomagał w urzędzeniu się „Kultury” we Francji, ułatwiając między innymi – o czym wspominaliśmy – pożyczanie pieniędzy na zakup domu, w który się znajdujemy. Ponadto sfinansował wydanie jednego z numerów miesięcznika. Redakcja informowała o tym w ten sposób:

Pierwszym Polakiem, który z własnych funduszków, nawet przez nas nie proszony złożył nam sumę potrzebną na wydanie jednego numeru, jest Stefan Zamoyski. Dlaczego on właśnie? Czy to trumny gadają? Ten major wojsk polskich, uczestnik walk ostatniej wojny w Narwiku, Francji, Belgii i Niemczech, potomek Czartoryskich i Zamoyskich, czuje widocznie na sobie ciężar tej wielkiej tradycji, jest wierny tym swoim przodkom, którzy całe swoje życie na emigracji dla sprawy polskiej sterali.

Pokój Jerzego Giedroycia

Sporą część prywatnego pokoju Jerzego Giedroycia zajmuje łóżko – duże, bo było dla Redaktora swoistym przedłużeniem biurka, kiedy przychodził tu po całym dniu pracy, zabierał ze sobą maszynopisy i czytał, czytał, czytał... W tekście pt. „Adresy Jerzego Giedroycia” pisał Marek Żebrowski:

Kilkunastometrowy pokój na pierwszym piętrze stał się na resztę życia jego jedyną oazą prywatności, w której zaszywał się na poobiednią drzemkę i kilka godzin snu w nocy. Na ile można nazwać go domem? Na ile te kilka godzin nazwać można prywatnymi? Wszak i wówczas zabierał ze sobą maszynopisy, nad którymi nieraz zasypiał, co kończyło się wypalonymi na pościeli i podłodze śladami upuszczonych papierosów....

Rzut oka na ściany pokazuje, że pokój ten zmienił właściciela. Po śmierci Jerzego Giedroycia wprowadził się tu jego brat, pan Henryk. Została część kolekcji broni, zbieranej przez pana Jerzego, a do tego doszła część kolekcji dudków jego brata. Za czasów Redaktora na ścianach o wiele więcej było też ikon, na czele z Matką Boską Ostrobramską, dla której Jerzy Giedroyc żywił wielką cześć, w odróżnieniu od Częstochowskiej, którą zdarzało mu się nazywać „okropną”...

Na półkach natomiast nieodmiennie znajdujemy komplet wydawnictw Instytutu Literackiego. Żartobliwie opowiada nieraz o tym jeden z pracowników Instytutu Literackiego, który najczęściej oprowadza gości po Domu „Kultury”:

po śmierci Redaktora jego komplet wydawnictw Instytutu sprezentowano Bibliotece Uniwersytetu w Mińsku. Książki zostały spakowane, a ich miejsce natychmiast zajął... analogiczny komplet wydawnictw Instytutu, ze zbiorów Pana Henryka.

Na biurku Redaktor postawił zdjęcie swojej Matki, Franciszki ze Starzyckich Giedroyciowej.

Przez wiele lat główną atrakcją garderoby były dla zwiedzających mundury Zofii i Zygmunta Hertzów z Armii Andersa oraz podarowany im legendarny śnieżnobiały kozuch Marka Hłaski. Pamiątki te zostały jakiś czas temu zabrane przez spadkobierców Hertzów. Na ścianie po prawej stronie znajdują się ilustracje Jana Lebensteina do „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella.

Z pierwotnego wystroju pokoju Zofii Herz usunięte zostało łóżko, natomiast zachowane zostały obrazy, z portretem siostry Czapskiego pędzla jej brata oraz skrzynia, ozdobiona przez malarkę Arikę Madeyską. Na ścianie wisi maska namalowana na kawałku kory przez Leonor Fini, argentyńskiego pochodzenia malarkę związaną z Konstantym Jeleńskim.

Na komodzie wciąż znajdują się książki w fałszywych okładkach. Znajdziemy tu Miłosza w okładce „Wyzwolenie” czy Orwella w rosyjskojęzycznej okładce „Za mir”. W ten sposób przemycano do kraju publikacje, która nie mogły być wydawane w Polsce.

W korytarzu przy wyjściu z pokoju można zobaczyć odnaleziony w 2013 roku na strychu domu obraz Józefa Czapskiego.

Garderoba

Pokój Zofii Hertz



Jerzy Giedroyc, Zofia i Zygmunt Hertzowie przy stole w ogrodzie domu przy av. Corneille. Początek lat 50. XX w., fot. Henryk Giedroyc.

W „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc pisał o Hertzu:

Wkład Zygmunta był ogromny, ale to co robił, robił dla swojej żony.

Był przed wojną wysokim urzędnikiem w Solvayu. Po wyjściu z wojska

mógł bez trudu znaleźć dobrze płatną i prestiżową pracę na Zachodzie.

Miał zresztą wiele propozycji od swej firmy, a mógł również wykorzystać

rozgałęzione stosunki swego ojca w międzynarodowych sferach

gospodarczych. Poświęcił się dla Zosi.

Rola łącznika „Kultury” ze światem zewnętrznym, w tym zwłaszcza z przyjezdnymi z Polski, przypadła Hertzowi o tyle naturalnie, że był człowiekiem towarzyskim, dowcipnym, czarującym, ale też troskliwym i pomocnym. Tak wspomina go Wojciech Karpiński:

O jeszcze jednej działalności zespołu Kultury należy tu wspomnieć, o pomocy dla ludzi z kraju, o sprawowanej po cichu, lecz skutecznie funkcji ambasadorów polskiej kultury. W tej dziedzinie rola Zygmunta Hertza była nieoceniona i nikt go nie zdoła zastąpić. Był ministrem spraw zagranicznych udzielnego księstwa na Lafficie. Zajmował się human relations. Był ministrem Kultury – nie tylko paryskiej, także polskiej. Temu pisarzowi pomóc w załatwieniu tłumaczenia, dla tego naukowca zdobyć jakieś zagraniczne publikacje, jest jakiś malarz, którym warto się zająć, komuś należałoby zorganizować odczyty. Zygmunt zawsze miał na to czas. Biegał wokół tych spraw bagatelizując swoje dokonania, od wdzięczności opędział się jakimś starym dowcipem.

Szczególnie blisko Zygmunt Hertz związany był z Czesławem Miłoszem, a jego wydane niegdyś przez Instytut Literacki listy do poety są jedynym opublikowanym świadectwem wrażliwości, serdeczności i pełnego ironii – ale też autoironii – poczucia humoru Hertza. Gorąco zachęcamy do ich lektury.

W pokoju Hertza z pewnością najczęściej uwagę zwraca okno, które zaprzyjaźniony z nim Jan Lebenstein zamienił w swoisty witraż z postaciami, inspirowanymi „Folwarkiem zwierzęcym”. Przed laty okno zostało wyjęte ze ściany zewnętrznej, poddane konserwacji i umieszczone wewnątrz pokoju. W pokoju Zygmunta Hertza znajduje się też część jego kolekcji falerystycznej, czyli zbiorów orderów i medali, poświęconych zwłaszcza dokumentowaniu służalczości. Na pierwszym miejscu w tej kolekcji znajduje się medal „Za usmirenje polskowo mjatjeża” (czyli: „za stłumienie polskiego buntu”), przyznawany przez władze rosyjskie za zaangażowanie w tłumienie Powstania Styczniowego. W stanie wojennym redakcja „Kultury” zamówiła kopie tego medalu i rozsyłała je na prywatne adresy co ważniejszych działaczy PZPR.

Główną klatkę schodową zdobi kolekcja portretów ludzi „Kultury” i osób z nią związanych, pędzla Józefa Czapskiego. Są tu, patrząc od lewej: Bohdan Osadczuk i Marek Hłasko, Gustaw Herling-Gr-

dziński, Sławomir Mrożek, Józef Łobodowski, Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski i Zygmunt Hertz. Swoistą kontynuacją tej galerii są zaprezentowane w dolnym hallu rysunki. Obok wejścia do *jardin d’hiver* portrety Witolda Gombrowicza autorstwa Czapskiego, a po lewej stronie drzwi do gabinetu Redaktora – portret Marszałka Piłsudskiego autorstwa Stefana Norblina i narysowany przez Czapskiego portret samego Giedroycia.

Widniejąca tu tablica z napisem „Skwer Jerzego Giedroycia” to kopia tablicy z Warszawy, gdzie istotnie imię Redaktora nadano skwerowi, znajdującemu się u wejścia do Belwederu.

Pawilon obok tylnej bramy nazywany jest czasem „stajenką”. Przez lata na jego piętrze mieściły się trzy pokoje gościnne, a na parterze część biblioteki i magazyn książek Instytutu. Tu przez dekady swój pokój miał Gustaw Herling-Grudziński, tutaj w różnych latach nocowali Andrzej Bobkowski, Stefan Kisielewski, Czesław Miłosz, Adam Michnik, Zbigniew Herbert, Zdzisław Najder, Agnieszka Osiecka, Roman Polański, Wojciech Karpiński i wielu, wielu innych. Na dole znajdował się magazyn książek i czasopism. Za czasów pana Henryka Giedroycia zapadła decyzja o przebudowaniu pawilonu na profesjonalne archiwum, w którym zachowywane są wszystkie wymogi dotyczące temperatury czy wilgotności powietrza i wtedy – po uporządkowaniu, konserwacji i odkwaszeniu – przeniesione tu zostały zbiory archiwaliów, w tym korespondencja Jerzego Giedroycia. W archiwum znajduje się też pracownia, a na górze – tradycyjnie – pokoje gościnne.

Niedaleko pawilonu znajduje się budynek dawnego garażu, w którym obecnie przechowywana jest kolekcja czasopism. Za garażem niewielki warzywnik, a tuż obok – biblioteka, wybudowana w latach osiemdziesiątych, a od dawna już przepełniona i czekająca na remont i porządną katalog.



Ogród zimowy — *jardin d'hiver*. Weranda Instytutu Literackiego,
miejsce pracy i spotkań, fot. Henryk Giedroyc, 1955.

A dzisiaj?

Zgodnie z wolą Jerzego Giedroycia, w statucie Stowarzyszenia Instytut Literacki Kultura, założonego w 1999 roku jeszcze przez Redaktora, Zofię Hertz i Henryka Giedroycia, wyznaczone zostały mu następujące cele:

(...) przechowywanie, ekspozowanie i eksploatację, dla badań historycznych i promocji wartości demokracji, dziedzictwa intelektualnego reprezentowanego przez czasopismo „Kultura”, jej archiwów, miejsc, w których było opracowywane oraz innych czasopism i dokumentów publikowanych w związku z nim, jak również wszelkich przedmiotów, związanych z „Kulturą”.

Gorąco zachęcamy do zapoznania się z naszymi zbiorami za pośrednictwem prowadzonego przez nas portalu:

www.kulturaparyska.com,

gdzie można również znaleźć zestawienie najważniejszych publikacji, poświęconych Instytutowi Literackiemu oraz Jerzemu Giedroyciowi. Będziemy też niezmiernie wdzięczni za wsparcie finansowe naszej działalności. Wierni tradycji, wprowadzonej przez Redaktora – staramy się bowiem zapewnić trwanie Instytutu, z jednej strony pozyskując fundusze zewnętrzne, a z drugiej zachowując pełną niezależność funkcjonowania Maisons-Laffitte.

Na zakończenie kilka słów Czesława Miłosza podsumowujących życie w Domu.

Ci, którzy biorą do ręki roczniki „Kultury” i książki wydane przez Instytut Literacki, i którzy będą je brać do ręki w przyszłości, powinni pomyśleć chwilę o garnkach kuchennych, o przygotowaniu śniadania, obiadu i kolacji przez te same trzy-cztery osoby odpowiedzialne za redakcję, korekty, ekspedycję, o zmywaniu, o zakupach... i pomnożyć liczbę tych i podobnych domowych zajęć przez liczbę dni, miesięcy i lat. A także o sznurkach, papierze pakowym, o dźwiganiu, noszeniu, nadawaniu przesyłek na pocztę....